

Jan Sikorski

część II z VI

Sygnatura notacji: **N0061**

Data urodzenia: **12.11.1935 r.**

Data nagrania: **28.08.2007 r.**

Miejsce nagrania: **Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Bogdan Krawczyk**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 62 min, część III: 55 min,
część IV: 56 min, część V: 60 min, część VI: 22 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ksiądz Jan Sikorski: Wybuch powstania w Warszawie, a my jesteśmy w Choszczówce. I znowu tam kolejny epizod się wydarzył. Mianowicie w lesie zabito kilku Niemców. I w tym momencie Niemcy postanowili z tej miejscowości zebrać zakładników. Zebrano kilkudziesięciu mężczyzn, w tym również mojego ojca, i zabrali ich, jak myśmy wszyscy sądzili, wiedzieli – na rozstrzelanie. Rzeczywiście po pewnym czasie słysząc było strzały w lesie, serie. Siostra moja znowu – siostra Wiesława – sprytna bardzo.

Bogdan Krawczyk: Ta średnia, tak?

Ksiądz Jan Sikorski: Ta średnia, tak, pobiegła za... bohatersko, oczywiście bez tam żadnego pozwolenia, pobiegła za tymi mężczyznami i szła, trudno mi powiedzieć, jak długo, ale chyba nawet kilka godzin. Ponieważ tu już front się zbliżał, jak ojciec opowiadał, bo tak znał niemiecki trochę, więc mówi, że prowadzono ich do kolejnych komendantów jakichś lokalnych tam miejscowości, którzy na nich ogromnie tam przeklinali, krzyczeli itd., ale żaden nie podpisał wyroku śmierci. Wobec tego prowadzono ich tak od Annasza, do Kajfasza i wreszcie w którymś momencie wsadzono w pociąg i wysłano do Niemiec. Myśmy nie wiedzieli, co się dzieje z ojcem. Przekonani byliśmy, że ojciec już nie żyje, prawdopodobnie jest rozstrzelany. I czekaliśmy na wydarzenia właśnie w tejże Choszczówce, ciągle patrząc na tę płonącą i walczącą Warszawę. W schronie koło tej willi mojej ciotki, wykopanym jeszcze schronie przez mojego ojca, który przewidywał, że tam te walki będą, prawda, jakieś się toczyć. I całe szczęście, że to przewidział, bo gdyby nie ten schron, pewnie byśmy zginęli. – To oczywiście od księdza już gdzieś tam wyszło, ale ja jestem zbudowany przezornością rodziców. – Przezornością, tak, bo to sytuacje były nowe, zupełnie nieznane były. Na szczęście tam

po budowie domu jeszcze jakieś belki, pamiętam, leżały w okolicy domu, i wiem, że ojciec to wykorzystał, przykrył to ziemią. To było zrobione byle jak, tak, że, jak te pociski się tam rozrywały, a rozrywały się gęsto, bo nieraz to trwało 2, 3 godziny, takie przygotowanie artyleryjskie, to ta ziemia sypała się na nas, i wiem, że tam żeśmy się głośno w tym schronie modlili. Wtedy nigdy nie wiedzieliśmy, czym się to wszystko skończy. Ponieważ tam przewidziane były na terenie Choszczówki jakieś prawdopodobnie walki, manewry, nie wiadomo co, dość że Niemcy powiedzieli, że ludność cywilna musi się stamtąd usunąć i dali przepustki, można było brać z tego Warthegau na koniec świata. I pamiętam wtedy, że mama wzięła tę przepustkę do Kalisza i mówi: „Uciekajcie stąd”. I pieszo z tej Choszczówki przez Jabłonnę, pamiętam, gdzie tam te katusze tam stały, strzelały gdzieś, wśród płonących domów żeśmy uciekali tam w kierunku Sochaczewa. Żeśmy chyba doszli na nogach pieszo do tego Sochaczewa, notabene po drodze podwieźli nas jacyś Niemcy na wozach. Okazało się, że na tym, że oni wieźli tam amunicję. To, jak żeśmy zeszli z tego wozu, okazało się, że tam była amunicja, a obok nas, to pamiętam, wybuchały pociski. Tak że no szczęśliwie żaden w ten wóz z tą amunicją nie trafił, z tymi Niemcami, no i nami przy okazji, bośmy tam siedzieli. I gdzieś nas po drodze na granicy chyba Warthegau, na granicy Generalnej Guberni i Warthegau zatrzymali nas – to było gdzieś w okolicy Łodzi – i zabrali znowu do kolejnego obozu. To był taki obóz, chyba nie wiem, w Pabianicach to był ten obóz. I w tym obozie razem z całą tam grupą tych ludzi, którzy uciekali z Warszawy, zatrzymali nas, potem wsadzili w pociąg i wywieźli do Niemiec. Notabene, przejeżdżaliśmy tym pociągiem przez Kalisz i wtedy babcia, licząc, że to przecież już front i jakiś tam, sytuacja się zmieni, wyskoczyła wtedy, znaczy wysiadła po prostu z tego pociągu, bo się łaskawie zatrzymał w Kaliszu, wysiadła i po prostu została tam, żeby w razie czego tam ratować ten przedwojenny nasz tam jakiś dobytek, czy mieszkanie, czy coś takiego, a my sami pojechaliśmy dalej, jak to się mówiło, do Niemiec. I rzeczywiście znaleźliśmy się na terenie Niemiec, niedaleko Świdnicy. To się Schweidnitz wtedy nazywało, taka mała miejscowość Goerlitz i tam był obóz.

Bogdan Krawczyk: Czyli w Reichu wyładowaliście?

Ksiądz Jan Sikorski: Tak, to już był Reich. I to był obóz, w którym znajdowali się Cyganie chorzy na jakąś chorobę weneryczną, bo pamiętam, jak im przez... odpadały... jakoś ciało, tak... Rany mieli takie czy otwarte rany na sobie. Jacyś tam jeszcze inni więźniowie, byli Polacy i mała grupka volksdeutschów z Warszawy. Zapamiętałem, bo kobiety nosiły turbany na głowach. Pytam: „Mamo, dlaczego te panie noszą turbany i nigdy ich nie zdejmują?” Jak któraś zdjęła, to już wiedziałem – była ogolona na zero. I to byli właśnie volksdeutsche wywiezieni z Warszawy, którzy przez powstańców, jako jedyny akt represji po prostu kobiety były golone do zera, żeby było wiadomo, że to właśnie byli volksdeutsche. To był obóz taki przejściowy. Tam przyjeżdżali Niemcy do tego obozu, wybierali sobie ludzi i zabierali do pracy, jak to się mówiło, do bauera czy gdzieś tam. No więc wiem, że wtedy to były emocje codziennie, bo rozdzielali oczywiście rodziny, nie zwracali uwagi. Siostra była dosyć moja, ta starsza siostra była dosyć młoda, taka dosyć efektowna dziewczyna. Wiem, że tam się smarowała ciągle jakimiś burakami, chodziła owinięta jakimiś szmatami, tak nie bardzo wiedziałem, o co to chodzi, ale w każdym razie tak się jakoś ratowała, żeby tam nie została gdzieś zabrana przez Niemców. I jakiś czas siedzieliśmy właśnie w tym Goerlitz, w tym obozie, który był takim obozem nawet otwartym do tego stopnia, żeśmy nawet do tej Świdnicy, do tej Schweidnitz chodzili do kościoła. A nawet wiem, że udało nam się kiedyś do łaźni pójść. Mama udawała niemowę, no i jakoś tak żeśmy sobie tam próbowali się jakoś ratować. W tym czasie dostaliśmy list od ciotki z Kalisza, do której napisał mój ojciec, że żyje. A ojciec był

z kolei – po polsku Piła, w tym czasie to się nazywało Schneidemühl – już też na terenie Reichu, dawnych oczywiście Niemiec. Kiedy dowiedzieliśmy się, że ojciec żyje, była to ogromna radość. W obozie, gdzie byliśmy, warunki panowały straszne, i higieniczne, bo to stary jakiś młyn, więc codziennie rano pamiętam procesję z nieboszczykami, kiedy po nocy wynosili trupy tych ludzi, którzy w tym czasie w tym obozie umarli, to wszystko było okropnie brudne. Do dziś nie mogę się otrząsnąć z tego wspomnienia. I znowu zadziałała moja mama, jej desperacja. Poszła do tego lagerführera i mówi że jej mąż żyje, jest w obozie pracy, bo to okazało się, że ojciec był w jakimś obozie pracy. I my musimy się z nim spotkać. Że on chyba nie ma nic przeciwko temu. I ten człowiek nie wiem, jakim cudem, się zgodził. Wsiadliśmy w pociąg, jeszcze pamiętam – przez Wrocław, tam przesiadka była z Nadodrza do Głównego, czy też odwrotnie. W każdym razie pierwszy raz wtedy zobaczyłem Wrocław jeszcze taki niezniszczony, niezburzony. I pojechaliśmy właśnie do tego Schneidemühl, do tej Piły, i tam ojciec przyjął nas i w obozie udało mu się zdobyć taki mały kawałeczek baraku, kocami żeśmy to owinęli, że tylko dla nas. I myśmy tam jako rodzina mieszkali. Tam w tym obozie byli Włosi, Łotysze, Francuzi, a również i Polacy. Taki międzynarodowy obóz. – Europa jednym słowem. – Tak, Europa. Zresztą nie miałem najlepszych wrażeń, strasznie bałaganiarze, Włosi, Francuzi to brud taki wokół nich, że aż wręcz przysłowiowy. Polacy żeśmy się nawet gorszyli tym. A Polaków porozprowadzano do różnych niemieckich tam domów. Mężczyzn nie było, więc co tam kto umiał, to gdzieś tam pracował i coś robił. Wiem, że niektórzy pracowali u rzeźnika, więc z siostrą chodziliśmy na takie metki kielbasy, takie, które ci pracownicy wynosili do sąsiedniego domu na strych, myśmy tam na ten strych wchodził, zabierali to i przynosili do obozu, żeby było co jeść. Polacy byli bardzo źle traktowani w tym obozie. Pamiętam, było Boże Narodzenie, to Francuzi i inni dostawali jakieś ciasto nawet wtedy tam po kawałku. Polacy nie, nie dostawali tego. Ale w każdym razie była tam pewna swoboda. Nawet można było wychodzić na zewnątrz, tak że ja wtedy sobie po tej Pile spacerowałem, i też w niedzielę szliśmy sobie do kościoła. No trzeba było tylko, żeby nie nosić tego P znaczka, że się jest Polen, prawda, tylko tak jakoś udawać, że się jest nie wiadomo kim. W tym obozie warunki też były okropne, ale znacznie lepsze niż w tym Goerlitz. No i stamtąd w pewnym momencie, też chyba nawet w nocy powiedziano: „Raus”. Cały ten obóz pieszo został wyprowadzony przez lasy. Myśmy nie wiedzieli, że znajdujemy się wtedy w tzw. Wale Pomorskim, gdzie były ogromne umocnienia i Niemcy byli przygotowani tam na bardzo takie ostre walki. I prowadzili nas wtedy pieszo w kierunku Wałcza. To się nazywało wtedy Deutsch Krone. Po drodze, to właściwie przeze mnie, bo ja właściwie zamarzałem, taka była zima straszna, myśmy mieli takie z Warszawy letnie jeszcze ubrania, no tam kocami jakoś poowijani, że ojciec widział, że ja za chwilę tu mi te ręce chyba w ogóle jakoś odpadną. No i w czasie postoju tej naszej kolumny gdzieś żeśmy w rowie przykucnęli. Niemiec albo udawał, że nie widzi, albo rzeczywiście nie widział, i myśmy tam leżąc, przeczekali, aż cała ta wataha, cały ten obóz przejdzie, cała kolumna, i zostaliśmy tam sami w jakiejś tam wsi niemieckiej, już nie wiem jakiej, a cały obóz dalej powędrował. Potem tak się jakoś składało, że nigdy nikogo z tego obozu nie spotkaliśmy. Podobno prowadzono ich – tak przynajmniej mówiono wtedy, że w kierunku Szczecina. A tam z kolei wiem, że wywożono ludzi na barkach takich i topiono. Być może, że również i tę naszą kolumnę taki los spotkał, bo nigdy nikogo z tej kolumny żeśmy w życiu nie spotkali. Zwykle tak się zdarza, że gdzieś ktoś, ktoś tam coś mówi, słyszy. Tutaj jakoś nic. Tak że myślę, że to była też wspaniała intuicja, żeby jakoś zostać. I zostaliśmy, zaczęliśmy pieszo iść, tak jak szliśmy na zachód, tak pieszo na wschód, pod prąd. Pamiętam takie sceny, jakiś żołnierz, który leżał na polu przykryty białym prześcieradłem, bo to już słyszać było armaty, strzały. Mówi: „Dokąd wy idziecie?” Więc my po polsku. On się wtedy – bo też jakiś Ślęzak pewnie – mówi: „A gdzie Iwan?” Bo to było takie zawołanie: „Gdzie Iwan?” Nie wiemy, gdzie Iwan. Mówimy: „Uciekamy przed Iwanem”, udając, że uciekamy. Pamiętam wtedy tego zdania, mówi:

„Wy osły i my osły”. Taki zdesperowany był ten żołnierz. No, i wreszcie, kiedy się już noc zbliżała, pierwszy lepszy dom gdzieś tam pojawił się na horyzoncie, więc przez pola do tego domu żeśmy szli. To był taki dworek. Pamiętam nazwisko właściciela, Lange się nazywał ten właściciel. Do tego domu żeśmy się zbliżali, naprzeciwko nas wyszli Niemcy, zaczęli do nas strzelać, więc my ręce do góry podnieśliśmy, no, i potem pertraktacje itd. No, i ojciec tam po niemiecku tłumaczy, że uciekamy przed Iwanem, ale noc się zbliża. „A skąd jesteście, co jesteście?” „Zgubiliśmy drogę, nie wiemy, gdzie iść”. I pozwolił nam być w tym domu i do tego domu żeśmy tam się skryli do piwnicy. I tam się zaczęła historia, że ten dom przechodził z rąk do rąk. Raz Rosjanie, raz Niemcy. Przy czym jeden dramatyczny moment był, kiedy do naszej piwnicy schronił się Niemiec, Austriak, który dostał po prostu szau, jakiegoś szoku i powiedział, że on już walczyć nie będzie. Ja tu z wami zostaję. Uzbrojony był po zęby, Panzerfaust, pamiętam, miał to prześcieradło białe i siedział z nami w piwnicy, tam na węglu. A dom akurat przejęli Rosjanie. I jak któryś z nich starał się otworzyć po kolei kolejne piwnice, doszedł do naszej, klamka wypadła i nie mógł otworzyć drzwi do naszej piwnicy. I to nam, przypuszczam, ocaliło życie, bo gdyby wszedł, zobaczył tego Niemca. Rosjanin zginął. Za jakiś czas znowu dom objęli Niemcy. No Niemiec też jakoś rozpułnął się wtedy. Powrócił do Niemców. I wreszcie tak się stało, że tam właśnie już przyszli Rosjanie, też nie otworzyli tej piwnicy, zrobili tam szpital. W tych piwnicach słyszeliśmy jęki żołnierzy itd. Baliśmy się wyjść stamtąd. W pewnym momencie, wreszcie ojciec wyszedł. Rosjanie zdziwieni. Okazało się, że któryś z nich właśnie był w tym domu, jak nie mógł otworzyć. Ojciec mu przypomniał, że nie mogłeś otworzyć tych drzwi. No, i wtedy już wyszliśmy, powiedzmy, jakoś na zewnątrz. Notabene, jedną noc, którą tam spałem w tym domu, to w nocy, kiedy zaczęły walić armaty, ojciec mówi: „No, to uciekajmy do piwnicy”. Ja wyszedłem – cała, wszyscy razem. Ja wtedy miałem pierwszy raz spałem w łóżku, pamiętam, od wielu – w łóżku normalnym, takim. A kiedy rano zobaczyłem to mieszkanie, to całe to łóżko było... Akurat pocisk uderzył dokładnie właśnie w ten pokój, w którym żeśmy mieszkali i to łóżko całe było metalowe pogięte od wybuchu armat. – Takiego dziesięciolatka, w cięgu, nie wiem, paru miesięcy trzykrotnie ksiądz się otarł o śmierć. – Tak. – Wyrok Opatrzności był widocznie inny. – Inny, tak, w każdej chwili można było zginąć. Potem Rosjanie mówią: „No to już wynoście się stąd”. No to my uciekamy, prawda, do Polski. I żeśmy właśnie w czasie ataku artyleryjskiego przez pole do drogi biegli. Pamiętam, jeszcze siostra miała jakąś walizeczkę, ta walizka się otworzyła, rodzice mówili: „Zostaw to wszystko, padnij!” I jakoś do tej szosy doszliśmy. Szosa była wypełniona tam wojskami, i trzeba było cały czas mówić po polsku, bo oni prostu mieli broń wycelowaną i strzelali, do kogo się dało. Raz – następnego dnia to było – kiedy żeśmy szli szosą, do nas z bryczki wysiadł jakiś oficer sowiecki i zaczął strzelać do nas z daleka z pistoletu. Nie mogliśmy uciekać. No trzeba było słyszeć, jak te kule gwizdzą. Żołnierze go tam potem jakoś opanowali. Kiedy myśmy doszli, on powiedział: „Wy Germanicy, nie Germanicy, a Polacy. Bo ja sobie przyrzekłem, że każdego Germanca ubiję – czy kobietę, czy dziecko, czy mężczyznę, bo oni mi całą rodzinę zamordowali. W mojej wiosce byłem i tam widziałem trupy swoich tych, i powiedziałem, że zabiję każdego”. On był trochę podpity. Myślałem, że wy jesteście Germanicy. Więc takie mieliśmy potem przygody. Po drodze zatrzymywaliśmy się w tych domach niemieckich na noc, gdzie jeszcze herbata niedopita stała na stole, gdzie jeszcze było jedzenie, jakieś tam kolacje czy jakieś inne posiłki przygotowywane, no i tam żeśmy sobie spali. Raz się tylko zdziwiłem, że taka była pościel jakaś dziwnie taka mokra. A ktoś, że tak, bo mówi: „Tam wczoraj na szkarlatynę wynieśli nieboszczyków”. Okazało się, żeśmy spali właśnie tuż po tych nieboszczykach, co zaowocowało tak, że już w Kaliszu cała nasza rodzina chorowała na szkarlatynę. I tak pieszo żeśmy sobie wędrowali już tutaj w kierunku Polski. Jeżeli się udało, to podwozili nas nieraz Rosjanie, jakiś jeszcze siostra pierścionek miała, to błysnęła tym pierścionkiem. No to oni: „Wsiadajcie”. Tam jak przez Wartę nas przewo-

zili, bo nie było mostu, te samochody grzęzły, tam stały w tej rzece i pamiętam, jak ten Rosjanin na środku tej rzeki mówi: „Dajcie ten kołec”, ten pierścionelek, który tego, więc czuliśmy, że może nie przejdziemy przez tę Wartę. I tak trochę pieszo, trochę tymi samochodami, trochę właśnie zatrzymując się w tych domach poniemieckich, a potem już na terenie tego nazwijmy to Warthegau, już w domach polskich zatrzymywaliśmy się, żeby wreszcie dotrzeć szczęśliwie, szczęśliwie do Kalisza. Mieszkanie nasze ocalało.

Bogdan Krawczyk: Stało?

Ksiądz Jan Sikorski: Mieszkanie stało. Oczywiście szyby powybijane, mieszkanie zdewastowane, ale bodajże byliśmy chyba pierwszymi mieszkańcami tego domu, którzy wrócili, tak że wiele rzeczy z tego domu ocalało, no i mogliśmy tam zamieszkać. I tak zaczęła się nasza historia już potem po wyzwoleniu. Właśnie już w Kaliszu. Babcia się pojawiła. Okazało się, że gdzieś nocowała chyba u znajomych. Myśmy to jakoś mieszkanie zasiedlili. Po drodze przychodzili różni rabusie, tam chcieli zabrać np. przykład pianino, które ocalało, chcieli nam wynieść. Wiem, że była walka o to, że my tu jesteśmy mieszkańcami. „Nie – mówi – my tu rekwirujemy, władze miasta” itd. Oczywiście to jacyś byli po prostu zwyczajni złodzieje. Ale po wojnie nikt nie wiedział, kim kto jest. Z jedzeniem też było kiepsko. Trochę te paczki UNRRA przychodziły, wtedy dostawaliśmy te racje żołnierzy amerykańskich. No i tak się zaczęła już tutaj nowa era, że tak powiem, Polski Ludowej. Natychmiast po przyjeździe do Kalisza trzeba było się rozejrzeć za szkołą. Nawet wtedy taki epizod świetny, bo chodziłem do żeńskiej szkoły sióstr nazaretanek, która to była szkoła średnia, ale ją odstąpili dla szkoły podstawowej i jakiś czas chodziłem do tych nazaretanek. Potem się śmiałem, że jestem też wychowankiem żeńskiej szkoły nazaretanek w Kaliszu. Później przenieśli naszą szkołę przy kościele franciszkanów. To żeśmy tak nazywali, że chodzimy do franciszkanów do szkoły, bardzo blisko kościoła. Wspaniały był ksiądz prefekt, taki ojciec Roch Betlejewski, który był, bardzo nam wszystkim imponował swoją taką energią, wiarą, ciekawym sposobem prowadzenia lekcji. To był też dar od Pana Boga, że takiego księdza mogłem poznać. Zrobił z nas od razu ministrantów, więc żeśmy w tym kościele franciszkańskim, choć to nie był kościół parafialny, służyli jako ministranci, jeździli na różne wycieczki. No, w szkole miał on, pamiętam, najwięcej do powiedzenia. Jak taki był Dudek Dudowicz z Grodna, który tam miał problemy z zachowaniem, jak jego czasem tak potrącili, to on tylko straszyl: „Ja to powiem ojcu Rochu”, i to było najgorsze ostrzeżenie, nie dyrektorowi czy komukolwiek, tylko jak on powie ojcu Rochu. I zaczęło się już takie dzieciństwo, spokojne, ciekawe. Trafiłem do klasy, gdzie miałem wspaniałych kolegów. Wszyscy bardzo byliśmy takich podobnych poglądów, z rodzin, które też miały swoje takie przejścia różne wojenne. Spotkałem się w szkole też z Edwardem Wende, późniejszym senatorem, który był trochę młodszy ode mnie. Rodzice się nawzajem znali jeszcze w Warszawie. Z nim kiedyś urządziliśmy taką wycieczkę we dwóch. Nie wiem, że nas rodzice puścili takich smarkaczy 14-letnich, na rowerach żeśmy przez Łódź pojechali do Warszawy i we dwóch tę wycieczkę odbyliśmy. No, bardzo ciekawe to były takie przeżycia wtedy. – Rodzice można powiedzieć ufnymi byli. – Rodzice byli ufnymi. No tak. Edek był bardzo taki energiczny. Mama mówi: „No, ale jak z Jankiem... – ja byłem rok starszy od niego – Jak z Jankiem, to cię puszczę”. Nie wiem, widocznie uchodziłem za statecznego, chociaż nie bardzo rozumiem, dlaczego.

Bogdan Krawczyk: A rodzicom jak się powodziło po 1945 r.?

Ksiądz Jan Sikorski: Rodzice... Tak – ojciec zaczął prowadzić taką firmę odzieżową nadal z takim warsztatem

krawieckim, z jakimś tam... No dość, dość energicznie się za to wziął. Były to czasy i warunki bardzo trudne. W każdym razie była to inicjatywa prywatna. W związku z tym był oczywiście wrogiem ustroju. Wiem, że bez przerwy nachodziły ojca jakieś urzędy podatkowe, jakieś kontrole. Wiem, że zaczęła się już ta epoka, prawda, taka... – Domiarów. – Domiarów, tak, tak. I wiem, że tam próbowali jakoś ojca bardzo tępić. Tym niemniej na jakimś poziomie byliśmy. Wiem, że pamiętam w szkole, w klasie miałem jako jeden z niewielu rower. Jako jeden z niewielu miałem zegarek. No więc nie miałem poczucia, że jestem zamożny – przeciwnie. Po wojnie to wszystko było bardzo takie skromne, ubogie, ale nie było już takiej sytuacji, powiedzmy, jak w czasie okupacji. Natomiast z kolegą moim, który był synem takiego najbardziej znanego lekarza w Kaliszu, blisko siebie mieszkaliśmy, byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni, no i widzieliśmy, że coś się w Polsce dzieje złego. Musimy coś zrobić. I pamiętam, żeśmy wpadli na pomysł, że będziemy wypisywać z literatury jakieś wiersze patriotyczne, pamiętam głównie tam Krasickiego i innych jeszcze – sami nie umieliśmy tworzyć tych wierszy – i będziemy je rozklejać po mieście. Ręką naszą, bo nie było maszyn do pisania wtedy, pisaliśmy te wiersze. I jak było trochę mniej ludzi na ulicy, to tam gdzie były słupy ogłoszeniowe, te wiersze o wolności, o pragnieniu tej wolności, o tym, czym jest niewola, żeśmy te wiersze rozklejali po mieście. No i potem byliśmy bardzo dumni, przyglądając się, jak ludzie zatrzymują się i czytają. Była to poezja, jak na nas – chłopaków i na tych czytelników pewnie – prostych, zwyczajnych ludzi – trochę takiego wyższego lotu. Ale wszyscy na to słowo „wolność” reagowali. Byłem harcerzem. Należałem do grupy takich harcerzy ministrantów. Prowadził to ksiądz bardzo dzielny. Prowadził, to znaczy drużynowym był świecki człowiek, ale on się troszeczkę opiekował i przy parafii mieliśmy trochę lepsze warunki niż inne drużyny. Ten ksiądz urządzał wakacje. Jako ksiądz miał takie pewne możliwości większe. Więc urządzał dla nas obozy gdzieś tam w lasach, z podchodami, i pamiętam, że nawet na ognisku, kiedy składałem przyrzeczenie harcerskie, to przyjechał jakiś harcmistrz z Poznania. Już to były czasy takie troszkę zaawansowane w tym socjalizmie, i z radością składaliśmy przyrzeczenie harcerskie jeszcze ze słowem Bóg, Honor, Ojczyzna. Tak. No, ja już miałem wtedy tę świadomość, że to jest coś wyjątkowego, że nie trzeba o tym zbyt głośno mówić. W każdym razie tym harcerzem byłem. Potem niestety tę drużynę rozwiązali, przyszło to harcerstwo czerwone, ja już byłem wtedy w szkole średniej, w liceum znanym w Kaliszu bardzo – Liceum im. Adama Asnyka. Notabene, urodziłem się w tym samym domu, w którym urodził się Adam Asnyk. Tak że pod oknem mojego mieszkania, w którym się urodziłem, jest dzisiaj tablica pamiątkowa na cześć, oczywiście, Asnyka. I zawsze jakoś tak... – Skazany na poezję, od... – Na poezję, tak. I może dlatego właśnie tę poezję tak rozlepiełem po tych murach Kalisza. I później w tym harcerstwie ja nie bardzo wiedziałem, że jakieś to jest harcerstwo. Wiem, że jakiś czas nawet zostałem takim instruktorem harcerskim, ale już mi się to harcerstwo przestało podobać, bo było takie indoktrynowane, zupełnie inne niż drużyna, do której należałem. Ale pierwsze tam szlify harcerskie w Kaliszu, i na tych obozach otrzymywałem jakieś sprawności, tam pierwsze zdobywałem. A potem liceum. W liceum udało mi się, że miałem wspaniałych nauczycieli, którzy oczywiście uczyli tego, co... – Co przed wojną. – Przed wojną, chociaż już to był rok, kiedy zacząłem się uczyć w liceum, to był 1948, więc już w Polsce następowały bardzo takie znaczące przemiany. Już naciski były coraz to większe. Pamiętam, że jeszcze w pierwszej klasie gimnazjalnej czy licealnej chodziliśmy czwórkami do kościoła. Zbieraliśmy się obok szkoły, na placu szkolnym, po czym ksiądz prefekt prowadził nas do sąsiedniego kościoła szkolnego Św. Mikołaja. Czwórkami. Ale to był tylko jeden jedyny rok 1948. Potem już to znieśli. Z tym, że religia w szkole była cały czas i do matury mam na świadectwie również stopień z religii. Ksiądz prefekt – taki ks. Stanisław Antczak był wieloletnim prefektem w Kaliszu, no, takim etatowym, i w tej pierwszej fali, kiedy wyrzucali religię ze szkoły, jego zostawili. Natomiast wiem, że uczył, rzeczywiście była to etyka albo religia, albo mówił o dobrym wychowaniu, natomiast żadnych

akcentów jakichś takich politycznych nie poruszał. Nauczyciele nasi mieli przeszłość patriotyczną, mieli przeszłość AK-owską, ale oczywiście o tym się nie mówiło. Jeżeli byli nauczyciele, którzy byli zaangażowani w system, w ustrój, no, to – to była szkoła męska, więc myśmy ich jako uczniowie, chłopcy, w sposób brutalny po prostu wycinali. Nieraz oni tak puszczali oko do nas, kiedy mówili tam o tych osiągnięciach socjalistycznych. No i myśmy się orientowali, o czym oni mówią. Ta klasa moja, jak później w ocenach tych nauczycieli, była rzeczywiście taką klasą wyjątkową. Wszyscy dostaliśmy się na studia wyższe, oprócz jednego, który potem osiągnął bardzo wysokie partyjne stanowisko i dorobił – ale dorobił już te studia jako jakiś tam wojewódzki sekretarz czy ktoś tam inny. Poza tym tak bardzo się zżyliśmy w tej klasie i w tej szkole, że właściwie do dzisiaj, choć to już ponad, grubo ponad 50 lat po maturze jest, spotykamy się na naszych zjazdach. Nawet na najbliższy zjazd we wrześniu się wybieram. Tak że ci z nas, którzy jeszcze żyją, przyjeżdżamy, spotykamy się i mamy dużo do powiedzenia sobie nawzajem. A szczególnie – to się na każdym zjeździe powtarza – ogromna wdzięczność za postawę naszych nauczycieli. Wszyscy, jak wspominałem, są po studiach. Nikt z naszej klasy nie osiągnął jakichś wysokich partyjnych stanowisk, z czego jesteśmy bardzo dumni, i to tak w rozmowach podkreślamy, że nie zrobiliśmy, nikt z nas, jakieś kariery, powiedzmy, polityczno-financej jakieś niezwyklej, natomiast możemy sobie nawzajem prosto w oczy patrzeć. Może warto dodać, że razem ze mną maturę również brał w tej klasie Ptaszyn Wróblewski – słynny polski muzyk jazzowy, który do dzisiaj jest bardzo aktywny, komponuje, prowadzi audycję przez radio. No, i właśnie w ten świat jazzu nas wprowadzał. Notabene, on już jako uczeń szkoły świetnie grał na fortepianie i jakimś dziwnym cudem sprowadzał z Zachodu – nie wiem, jak on to robił – płyty jazzowe. I przez niego mieliśmy ten kontakt, właściwie pierwszy w życiu kontakt z jazzem to przez niego. Te kawałki potem znał na pamięć i nam grał. Jak była zabawa szkolna, to tę oficjalną orkiestrę odprowadzaliśmy na kolację. Wtedy była wielka radość, bo wtedy przychodził Wróbel. Tam jeszcze taki był Janek Zylber, który na perkusji grał wspaniale. No i oni dwaj dopiero właściwie robili dobrą zabawę. No, potem Janek już tam studiując, podobnie zresztą Janek Zylber, obaj tam grali w zespole Komedy. Później już jakoś tak samodzielnie to prowadzili, więc oni weszli w ten świat muzyczny. – Franciszkańskie nastroje były. – Nastroje, tak. Wiem, że nieraz właśnie, kiedy Janek przychodził i grał na pianinie, jak tam ktoś z kolegów mieszkał na pierwszym piętrze, myśmy tam wtedy guzikami od marynarek walili w biurka, stoły, czy tam jakimiś butelkami. No cała jazzowa orkiestra. Przy tym centralnym placu w Kaliszu, gdzie był ratusz, pamiętam, że się zebrali młodzi ludzie i pod oknem stali, też podrygivali w takt tej muzyki, którą przez okno otwarte tam można było słyszeć. Oczywiście ten jazz był wtedy zakazany. No, i takie to były wtedy, nasza taka, takie uciechy szkolne, tak, no, i taka pewna forma opozycji, prawda. Jakies pochody były. Pamiętam, miałem ten zaszczyt, że z każdego pochodu uciekłem. Nie byłem na ani jednym pochodzie tak od początku do końca. Gdzieś tam się tę szturmówkę komuś tam dało do ręki, żeby przytrzymać. Ambicją naszą było to, żeby uciec z tego pochodu, czy też żeby uciec z tych akademii, które były urządzane, takie bardzo czerwone. Aczkolwiek w szkole już powstawało wtedy ZMP i niektórzy nasi koledzy do tego ZMP należeli. Ale ciekawe, że przeważnie byli to ci, którzy mieszkali... Byli spod Kalisza, mieszkali w internacie. W związku z tym byli jakoś materialnie zobowiązani do większego posłuszeństwa niż my, którzy byliśmy mieszkańcami miasta, i że tak powiem, z wolnej stopy przychodziliśmy do szkoły. I głównie oni należeli do ZMP. W naszej klasie przewodniczącym ZMP to był taki, zresztą bardzo sympatyczny kolega nasz – Moryc Steier, który był jedynym Żydem, który przez Rosję przyszedł do Polski i mieszkał właśnie w Kaliszu. Notabene cały czas mieszkał w hotelu, co mnie zawsze zastanawiało, dlaczego tak się działo. I do chyba 1950 czy 1949 roku był tym przewodniczącym ZMP. Potem wywędrował już do Izraela. Jakoś udało mu się pojechać. Notabene z nim korespondowałem jeszcze przez nawet długie lata, bo mimo

że był Żydem i nieochrzczonym, był bardzo dobrym naszym kolegą. Gościł często u mnie w domu, też grywał na pianinie, takim był sobie wesołym kolegą. Kontakt z jego żoną jeszcze utrzymuję do dzisiejszego dnia, bo on sam zmarł. Ale ciekawe właśnie było to, że jedyny Żyd, który był w klasie, był przewodniczącym Związku Młodzieży Polskiej i nie-liczna grupa do ZMP należała, cała ta, że tak powiem, ten sztab klasowy, który się liczył w klasie, do ZMP nie należał. Pamiętam, że mieliśmy kłopot przed samą maturą, co zrobić, bo przecież studia, każdy miał te ambicje. No, i tam jakoś próbowali jakoś niektórzy się wpisać do tego ZMP.

Bogdan Krawczyk: W którym roku matura była?

Ksiądz Jan Sikorski: W 1952, a więc to były te czasy takie trudne, prawda, czasy Stalinowskie. Ja sam składałem papiery, bo trzeba było zadeklarować, na co się idzie na studia. No to składałem papiery na medycynę, tym bardziej, że moja siostra medycynę studiowała we Wrocławiu, no, i bardzo mnie namawiała, żebym właśnie te studia medyczne podjął. We Wrocławiu, że będzie mi pomagać, że ona tam już ma swoje pewne możliwości. No, będzie mi łatwiej. I rodzice też, chociaż mama ofiarowała mnie Matce Bożej. No, ja tak trochę mówiłem, że chciałbym iść do seminarium, ale przed maturą trochę sam się tak wahałem. Znacząco wewnętrznie wiedziałem, że będę w tym seminarium, ale jakoś tak się zastanawiałem jeszcze. Papiery na medycynę złożyłem z przekonaniem, że żadnych egzaminów nie będę zdawał nigdzie, na żadną medycynę nie pójdę. Zresztą oni mi tam nawet nie prorokowali tego dostania się na medycynę ze względu na pochodzenie społeczne. Bo w końcu ojciec był jakimś tam quasi małym kapitalistą. No więc to pochodzenie społeczne było nieodpowiednie. Pamiętam, była taka komisja, gdzie dyrektor szkoły, nauczyciele, czynniki społeczne, no więc ci partyjni, i kolega mój z klasy, który był następcą tego Morycy, który był też – były ministrant przewodniczącym ZMP został. I oni wszyscy decydowali. Ja stałem na baczność przed nimi. A oni, ten mój kolega z dyrektorem, z nauczycielami rozmawiał i pytał: „Co ten Sikorski, czy jego oblicze polityczne jest odpowiednio godne, czy niegodne?” Nie prorokowali mi specjalnie dostania się na tę medycynę, ale to oczywiście było dla mnie nieważne, bo byłem już przekonany, że to tylko taki kamuflaż przed maturą, żeby po prostu mieć święty spokój. Kiedy zdałem maturę, od razu wiedziałem, że trzeba złożyć dokumenty do seminarium. Przyjechałem do Warszawy, bo w moim sercu ciągle Warszawa była. Kiedy słyszałem piosenkę „Warszawo, ty moja Warszawo”, pamiętam, nie mogłem powstrzymać łez. Kiedy widziałem domy – pamiętam takie wzruszenie moje w Gdyni – przypomniał mi się Żoliborz, te domy, które w Warszawie, taki właśnie trochę nowoczesny Żoliborz, trochę podobny do tej architektury gdyńskiej. Tak sobie: „Boże, dlaczego nie jestem w Warszawie?” No a dom mój ten na Franciszkańskiej był zniszczony kompletnie. Nawet nie wiedziałem, w którym miejscu on stał, kiedy do Warszawy pojechałem. Natomiast wiedziałem, że, choć urodzony w Kaliszu, bardzo jakoś to miasto było mi bliskie, to jednak czułem się jakoś warszawianinem. I wróciłem do Warszawy i tu właśnie wstąpiłem do seminarium, o którym zresztą nie miałem zielonego pojęcia, do tego stopnia, że nawet nie wiedziałem, gdzie ono jest. Wiedziałem, że Krakowskie 52, ale patrzę – tu kościół wizytek, tu Rada Ministrów, tu obok dziekanat. Myślę: „Gdzie to seminarium?” A to było takie wejście schowane. Wszedłem do kościoła, mówię: „Panie Boże, jeśli chcesz, żebym był księdzem, to pokaż mi, w które drzwi mam zapukać”, bo gdzieś to seminarium mi zginęło. I po tej wizycie w kościele zobaczyłem, w takim wąskim rogu gdzieś te drzwi są, i wstąpiłem, zgłosiłem się do seminarium. Tam się już zaczęła moja era, powiedzmy, warszawska, właśnie taka seminaryjna, kleryka. Wstąpiło nas wtedy bardzo dużo, chyba niemalże 70 na pierwszym roku było, więc masa była ogromna. I to właśnie było ciekawe, że jakaś taka wiara ogromna i przekonanie, że ten system to, mimo że on taki był wszechwład-

ny i wszędzie widoczny, a Kościół właściwie w oficjalnym przekazie jak gdyby nie istniał, a jeżeli istniał, to jako przedmiot ataków nieustannych, te procesy wszystkie tych księży różnych, prawda, te afery, myśmy wszystko to słyszeli, jednak tyłu nas do seminarium przyszło. To ja dzisiaj, jak patrzę na to, to mi się wydaje to czymś zupełnie niezwykłym, to rzeczywiście bez jakiejś Bożej inspiracji, łaski Bożej, to po ludzku się tego nie da wytłumaczyć. To przekonanie nasze, że seminarium będzie potem, że seminarium będzie rozwiązane, a my w tym seminarium trwamy. To przekonanie, że ten system upadnie. W czasie mojej edukacji nigdy na przykład nie uczyłem się rosyjskiego języka. Tak mi się udało. W szkole podstawowej nie, w gimnazjum nie. I w zasadzie w ogóle tego języka nie znałem. I w momencie, kiedy w seminarium się mówi, że już jest w zasadzie koniec Kościoła hierarchicznego, że seminarium będzie tajne itd., ja zapisuję się na lektorat języka rosyjskiego. Dobrowolnie, z przekonaniem, że przecież tę Rosję trzeba będzie kiedyś jakoś nawracać. Był to zapał młodzieńczy. Wystarczyło mi na 3 miesiące tego lektoratu, potem już w nowym roku tego nie ponowiłem. Nauczyłem się tylko jednego zdania, bo z jakiejś komunistycznej książki ten ksiądz nas uczył rosyjskiego, „Ani ubiwali aktywistów”. No, i to była taka rozpacz w myśli tego autora tego opowiadania, że właśnie ci kontrrewolucjoniści zabijali tych aktywistów. I to zdanie jakoś tak zapamiętałem. To jedyne zdanie po rosyjsku, które jakoś mi zostało. Więc wiara nasza, to przekonanie o tym, że Kościół zwycięży. Nikt z nas nie wiedział, jak to będzie wyglądało. Mimo, jak wspomniałem, aresztowania księdza Prymasa i tego prześladowania i tych biskupów, i kapłanów, jakoś byliśmy optymistami, wierząc, że ten Kościół trwać będzie. No i tak jakoś te lata seminaryjne szczęśliwie w tej nadziei przeżyliśmy. Seminarium skończyłem w roku 1957, a ponieważ, jak wspomniałem, szkołę zacząłem bardzo wcześnie, więc żadna dyspensa, nawet papieska, mnie nie chwyciła. Musiałem cały rok czekać na stanowisku tak bardzo dziwnym – subdiakona, wikariusza w parafii w Skierniewicach. Uczyłem wtedy w szkole, bo akurat religia wróciła do szkół, więc miałem wtedy studiować na KUL-u jeszcze dodatkowo. No, ale mnie cofnęli, żebym poszedł do szkoły, bo taka była wtedy potrzeba. Natomiast w seminarium z takich wydarzeń ciekawszych, to poza tym, że niosłem właśnie pastorał przed Księdzem Prymasem wtedy, to potem mieliśmy takie zgrupowanie swoje, zgrupowanie, powiedzmy, wakacje swoje, naszego rocznika, żebyśmy się tak bardziej zżyli, w Murzasichlu. I tam miałem wspaniałego kolegę, ks. Jerzego Chowańczaka, z którym bardzo dobrze się rozumieliśmy, i tak jakoś mrugnęliśmy do siebie, że nie będziemy wracać do Warszawy z tego Murzasichla, tylko sobie pójdziemy na wycieczkę gdzieś przed siebie, w stronę Bieszczad, a może nam się uda odwiedzić Księdza Prymasa, o którym wiedzieliśmy, że był internowany w Komańcza. W ogóle nie wiedziałem, gdzie ta Komańcza, a słowo Bieszczady było dla mnie obce. Map nie miałem żadnych, tylko taką ogólną mapę Polski. I wtedy szaleńczy projekt żeśmy podjęli: „Słuchaj, idziemy we dwóch do Księdza Prymasa”, nie mówiąc nikomu. Ksiądz, późniejszy biskup Romaniuk był wtedy naszym prefektem. Mówi, że potem dostał burę w seminarium, że nas wypuścił, ale on nic nie wiedział, że my wychodzimy. I poszliśmy sobie we dwóch przez Gorce, tam Szczawnicę, Piwniczną, właśnie w stronę tych Bieszczad. Z chlebaczkami małymi, bo nawet tego sprzętu nie było żadnego, mapy nie było, tylko z chęcią odwiedzenia Księdza Prymasa. Pamiętam, że pierwszy taki lęk ogarnął mnie w Krynicy, kiedy w schronisku pytali: „Gdzie idziecie?” Mówimy, że tam, na wschód idziemy, tam w Bieszczady. Mówi: „Gdzie? Dokąd? Tam nie można chodzić. Tam może iść grupa 20 osób z lekarzem i z surowicą przeciwko żmijom”, bo mówi: „Tam są żmije po drodze”. No, troszkę się wtedy wystraszyłem. Ale spojrzałem na mojego kolegę, on akurat miał chwilę przyptyw odwagi i mówi: „Idziemy”. I rzeczywiście poszliśmy. I kierując się tylko tą mapą, mapą, ogólną mapą Polski, szliśmy tak wzdłuż granicy polskiej, nie wiedząc, czy jesteśmy w Czechosłowacji, czy jesteśmy w Polsce, bo żadnych znaków nie było. Tuż za Krynica straciliśmy ścieżkę, więc przedzieraliśmy się tylko przez takie jakieś chaszcze. Po drodze napotykaliliśmy te cudowne cerkiewki grekokatolickie,

w których jeszcze stały sztandary te kościelne, chorągwie kościelne, ikonostasy. Wiem, że w którejś z nich wyciągnęliśmy brewiarz, żeby odmówić właśnie nieszpory, nawet głośno, czy nawet śpiewając, żeby jakoś uhonorować tę w lesie stojącą cerkiewkę, właśnie ożywić naszą modlitwę. I tak przez Jaśliska doszliśmy do... nie do okolic już Komańczy. Udało nam się nawet w Jaśliskach przespać się na plebanii. Tam żeśmy w tajemnicy księdzu powiedzieli, że idziemy do Komańczy, że może nam się uda odwiedzić Księdza Prymasa. No, on był tym bardzo taki zdumiony. Siostry tam zakonne były sercanki też. No, patrzyli co to za jacyś szaleńcy. No, w każdym razie poszliśmy.

Bogdan Krawczyk: Jak długo trwał ten szaleńczy marsz?

Ksiądz Jan Sikorski: To właściwie nie było długo, bo niecały tydzień żeśmy szli. Niecały tydzień, nie trwało to długo. – Gdzie Murzasichle, a gdzie Komańcza. – Murzasichle to jest tam niedaleko Zakopanego. No, potem myśmy szli tutaj tam Czorsztyn, prawda, Czorsztyn, Nidzica. Potem Rytro, Piwniczna, Szczawnica i od Szczawnicy potem tak po prostu szliśmy sobie przed siebie, tak na wycucie, na słońce. Nawet kompasu nie mieliśmy ze sobą, tylko tę ogólną mapę Polski. Notabene, na tej mapie była zaznaczona miejscowość Polany. Myślę: „Żebyśmy chociaż w te Polany trafili”. Pamiętam taką historię, że jednego człowieka nagle spotkaliśmy, który tam gdzieś kosił łąkę, trawę. I podchodzimy do niego i mówimy: „Ojej, jak to dobrze, że pan tu jest. Tu szukamy takich Polan”. A on się uśmiechnął: „Polany. No wiem – mówi – tu polan dużo jest”. Mówi: „Tu jest polana, i tu polana, i tu polana”. No więc nie wiadomo było wtedy, czy się śmiać, czy płakać. W każdym razie o tej miejscowości on nawet nie słyszał, że istnieje taka. No i jakoś udało nam się dotrzeć do samej Komańczy.

Bogdan Krawczyk: Jak to wyjście smoków wyglądało?

Ksiądz Jan Sikorski: Wiedzieliśmy, że tam nie pozwalają przyjeżdżać, że to jest strefa nadgraniczna, że chroniona, i rzeczywiście, idąc od strony granicy, zobaczyliśmy na drodze szlaban i patrol wojskowy, który zatrzymywał tam ludzi. Więc skoczyliśmy do lasu, tam przez takie tory kolejowe, do lasu, i tam żeśmy przycupnęli, patrząc, co ci żołnierze robią. Legitymowali ludzi, zatrzymywali. I nagle wśród tych przechodzących szosą w kierunku lasu, do którego myśmy mieli kilkaset metrów, idąc drogą, zobaczyliśmy, że idzie siostra zakonna do lasu i z jakimiś paczkami. To wiadomo, że nie idzie na grzyby, i sama jest. No, myślę sobie, to... Nie mieliśmy pojęcia zielonego, gdzie ten klasztor jest w Komańczy. Pewnie idzie do klasztoru, to idźmy jakoś w jej kierunku. No, i tak po jak gdyby obrysie trójkąta, prawda, zaczęliśmy do niej się zbliżać, uważając, żeby nie być zauważonym przez tych żołnierzy, i wreszcie dopadliśmy tę siostrę w lesie, że my siostrze pomożemy nieść paczki, nie mówiąc, o co chodzi w ogóle. „A dokąd wy idziecie?” „A tu idziemy, chcemy tu u siostry być w klasztorze i kolegę tam mamy”. Siostra tak spojrzała na nas: „Jakiego kolegę?” A myśmy wiedzieli, że tam siostrzeniec Księdza Prymasa być może będzie, taki ksiądz późniejszy, ks. Włodzimierz Sułek. I on był z rodziny Księdza Prymasa i coś tam wspominał, że może nawet uda mu się pojechać do Komańczy, już oficjalnie, bo to przecież był syn siostry Księdza Prymasa. Więc siostrzeniec – bliska rodzina. I myśmy tej siostrze powiedzieli, że idziemy kolegę odwiedzić, myśląc o tym Sułku. Powiedziała: „Cwaniaki”. Ale mówi: „To zostawcie już te paczki, ja już pójdę sama dalej”. Więc my za nią. I rzeczywiście w tym lesie pokazał się klasztor. No, podeszliśmy do drzwi, dzwonic, że chcemy tutaj z tym Włodkiem Sułkiem. No, to okazało się, że jest. No to już byliśmy szczęśliwi. Dłuższy czas się nie pokazywał. Wreszcie zjawił się. Zdziwiony był bardzo, skąd nagle tam. Mówi: „A wuj – tzn. Ksiądz Prymas

– mówił mi: »Nie, nie schodź na dół, bo to pewnie jacyś ubowcy«”. Bo siostra przekręciła nazwisko, powiedziała: „Jakiś Sikora tam do ciebie jest”. On: „Ja nie znam żadnego Sikory”. No i nie chciał, ale z ciekawości wyszedł. Na szczęście wyszedł. I ku naszej radości wielkiej. My brudni, w tenisówkach, w zetempowskich koszulach, takie czapeczki jeszcze mieliśmy, to był taki w Warszawie pokojowy młodzieżowy zjazd, jakoś to się specjalnie nazywało. Więc te czapeczki na głowie. No okropne to wszystko było. I pokazał nam się Ksiądz Prymas, przywitał się z nami bardzo serdecznie. Mówi: „No to zostaniecie tu u mnie jeden dzień, a na razie zapraszam was na obiad”. Przyniesiono obiad. Żeśmy razem ten obiad zjedli, rozmawiając sobie, gawędząc z Księdzem Prymasem. Ja tak zadałem takie naiwne pytanie: „Kiedy Ksiądz Prymas do nas wróci? Jak długo będziemy czekać?” Mówi, to pamiętam dosłownie tak powiedział: „Tak mnie tu bardzo kochają, że prędko mnie stąd nie puszczą”. A to był sierpień, no i czekał tylko do października, i w październiku już powrócił. Potem po obiedzie przychodzi, przynosi tabliczkę czekolady. To była rzadkość wtedy. I mówi: „Słuchajcie, już tu ubowcy na górze wiedzą o was”. Bo na pierwszym piętrze mieszkali ubowcy, którzy go pilnowali. No, tacy niby, prawda, cywilni. Mówi: „Już tam słyszę, że biegają, jakiś jest szum, więc się o was dowiedzieli. To musicie prędko uciekać. Ja was odprowadzę przez las do stacji Komańcza Letnisko. Tam można wsiadać do pociągu, który za chwilę odchodzi jako jedyny pociąg na całą dobę”. I mówi: „Tam można wsiadać bez biletu, bo tam nie ma kasy”. I wtedy wyprowadził nas on, potem jego siostra i chyba ten Włodek też był, i przez las żeśmy się tam przedzierali razem z Księdzem Prymasem, i patrzę – rzeczywiście wyprowadził nas. Tak z daleka widać było tory kolejowe i pociąg, który już stał na tej stacji. Mówi: „Uciekajcie prędko”. Ja się odwróciłem i widzę, jak on za nami kreśli taki wielki znak krzyża. Wiem, że wtedy wpadłem jakąś gnojówkę, przez jakieś tam podwórze czyjeś i do tego pociągu wskoczyliśmy od strony lokomotywy, wsiadając do pociągu. Tak, że nie widzieli nas ci, którzy stali na peronie, bo od tej strony wewnętrznej wsiadaliśmy. I pociąg ruszył. Wsiedli tacy wopięści. Pamiętam, że od razu zbliżyli się do nas, ale w momencie, kiedy tabliczka „strefa nadgraniczna” akurat nam za oknami minęła. Myślę sobie: „To teraz możecie robić, co wam się podoba”. No i przez ramię podałem, pamiętam, legitymację studencką, wtedy należeliśmy do tej Akademii Teologii Katolickiej, legitymacje studenckie mieliśmy. Tam spisali to wszystko, nic już nam nie mówili. Nic, nic. No i my szczęśliwi z tą czekoladą w chlebaka prymasowską, z którą nie wiedzieliśmy, kiedy ją zjeść i co z nią zrobić. To była taka pamiątka. Wróciliśmy już wtedy do Warszawy pełni wrażeń. W seminarium potem: „Co? Gdzie tam? Gdzie byliście?” itd. Gdzieś to się rozeszła ta fama o tym.

Bogdan Krawczyk: W glorii chodziliście?

Ksiądz Jan Sikorski: Nie wszyscy to wiedzieli wtedy. Myśmy tak bardzo się nie chwalili tym. Bardzo nie, dlatego że... No, jakoś tak to nie było może nawet takie, nie wiem, czy bezpieczne. W każdym razie jakoś tak bardzo tego nie rozgłaszaliśmy. Ale Ksiądz Prymas przez Włodka właśnie przysłał nam takie obrazki, gdzie na pamiątkę specjalnie nam takie błogosławieństwo swoje przysłał, żeśmy to jako cenne relikwie nosili później obaj. Także ta wizyta u kardynała, pierwsza prywatna w moim życiu, odbyła się właśnie w brudnych tenisówkach, krótkich spodniach i zetempowskiej koszulce.

Bogdan Krawczyk: Kiedy była następna?

Ksiądz Jan Sikorski: W zmienionych warunkach. – Już w zmienionych warunkach. Potem już przed święceniami

kapłańskimi. Z każdym z nas Ksiądz Prymas rozmawiał, bo miałem to szczęście, że święceń kapłańskich właśnie udzielał on 3 sierpnia, bo to był dzień jego imienin, dzień jego urodzin chyba i rocznica jego święceń. I tak kilka roczników właśnie wyświęcał w dniu 3 sierpnia. I wtedy przed święceniami są rekolekcje, które się odprawia. No i taka jest rozmowa prywatna o powołaniu, o drodze kapłańskiej itd. To była następna. A potem już spotykałem się z nim, już jako ksiądz w tychże Skierniewicach, gdzie zostałem posłany jako ten właśnie wikariusz subdiakon, jedyny chyba w historii diecezji na takim stanowisku. Kiedy on odwiedzał te Skierniewice, święcił sztandar kolejarzy, kolejarze byli mu wdzięczni, bo kiedy wracał z Rzymu po swoim zwolnieniu, nawet zatrzymali pociąg w Skierniewicach i krótka rozmowa nastąpiła wtedy. Kolejarze go zaprosili. I on przyjął to zaproszenie i słowa dotrzymał i przyjechał. Była to wtedy ogromna sensacja. Pamiętam, to miasto żyło. No, to już był rok 1957. Tak, to była jesień, to było krótko po Październiku. Więc ta jego obecność była tam rzeczywiście bardzo znacząca. A, jak wspominałem, religia wróciła do szkół. Ja wtedy miałem mnóstwo tych godzin w szkołach różnego typu, z jednej do drugiej biegałem bardzo tym wszystkim przejęty. No i bardzo taki szczęśliwy, zadowolony, że mogę jakoś normalnie pracować, że się wszystkie prognozy nasze kasandryczne, że będziemy tajnymi księżmi, nie sprawdziły się. Nawet zostaliśmy z sympatią przywitani jako katecheci w szkole. No potem oczywiście z tej szkoły nas jednej po drugiej wyrzucali, i trzeba było organizować już katechezę przy parafii.

Bogdan Krawczyk: Czy katakumby księdza ominęły?

Ksiądz Jan Sikorski: Katakumby mnie szczęśliwie ominęły, natomiast wszedłem nawet w takie pasmo, powiedziałbym, nawet entuzjazmu popaździernikowego. Później ten entuzjazm został wygaszany przez różne dekrety, zarządzenia i taką formę inwigilacji. Ale już praca była w zasadzie normalna i w kościele w miarę swobodna. No i tak pozostało.

Bogdan Krawczyk: W Skierniewicach ksiądz był ile lat?

Ksiądz Jan Sikorski: W Skierniewicach byłem 7 lat. Bardzo przywiązałem się do tego miasta, bardzo się tam dobrze czułem, uczyłem młodzież w Liceum Skierniewickim i te przyjaźnie z tą młodzieżą do dzisiejszego dnia właściwie trwają, choć to już dzisiaj ci moi dawni uczniowie są już dziadkami i swoich wnuków przyprowadzają teraz. – Chciałem jeszcze spytać o przyjaźń z seminarium. – Najbardziej w seminarium byłem związany jakoś tak właściwie od pierwszych chwil z ks. Chowańczakiem. Ja nie znałem nikogo w seminarium i on był chyba pierwszym klerykiem, z którym ja rozmawiałem. I zaczęło nam się bardzo miło ze sobą rozmawiać. On mieszkał w Warszawie. No, ja też jakoś tak przypisany byłem Warszawie. Te wspomnienia okupacji, powstania, mieliśmy sobie bardzo dużo do opowiadania. Potem tak się złożyło, że razem jeździliśmy na wakacje, i te wakacje jakoś bardzo nas tak ze sobą łączyły. Potem żeśmy na przykład całą Polskę, co było sensacją w tym czasie, na rowerach objechali jako klerycy, zwiedzaliśmy tam różne miasta, zatrzymując się tam gdzieś w stodółach, u znajomych, tam, siam, żeby w miarę możliwości bez jakichś nakładów finansowych te wakacje można było przeżyć. Więc najwięcej tak jakoś zapoznałem się z nim. No i to potem już tak przetrwało, no już do końca, przez długie lata byśmy dla siebie takimi nawzajem ojcami duchownymi, również i spowiednikami nawzajem, no i tak towarzyszyli wielu wypraw. Te wyprawy seminaryjne, takie pierwsze młodzieńcze, potem jako kapłani zaczęliśmy odbywać z młodzieżą, wyjeżdżając na te różne obozy, gdzie tam nas ścigali, śledzili, gdzie różne przygody, prawda, te obozowe tam się nam zdarzały, podobnie jak to robił kard. Wojtyła

jako ksiądz. No to wtedy taki był styl życia, że sobie nie wyobrażaliśmy, żeby wakacje przeżyć, prawda, tak sobie dla siebie odpoczywając. Więc jeździliśmy przeważnie właśnie z młodzieżą. To też jakoś bardzo owocowało. Ze Skiernewic, a potem w Warszawie. Potem w Warszawie tak się złożyło, że byliśmy w tej samej parafii – u Św. Michała na Mokotowie. – Teraz moja parafia z kolei.

Bogdan Krawczyk: Tak?

Ksiądz Jan Sikorski: O proszę. I tam był wspaniały wtedy zespół księży pod kierunkiem ks. prałata Piotrowskiego, który był takim personalnym diecezji, więc miał możliwość dobierania sobie księży, jakich chciał. I widocznie ten zespół jakoś z ks. Jerzym, który był rodakiem z parafii Św. Michała. Więc w sposób naturalny tam mieszkał w tej parafii. Ja wszedłem też w ten zespół i tam rzeczywiście dokonywaliśmy różnych duszpasterskich szaleństw, właśnie już parafii Św. Michała, tam był dolny kościół młodzieżowy, więc żeśmy tam próbowali stworzyć jako chyba pierwsi w ogóle w Warszawie, jedni z pierwszych w Polsce, młodzieżowy zespół big beatowy tam powstał, więc po raz pierwszy wprowadziliśmy big beat do kościoła, którym się potem zajmowałem, jak pisałem jakąś pracę na KUL-u też o tej muzyce kościelnej. Jakoś ta muzyka, to pianino z domu mi w głowie zostało. Ta muzyka była mi bliska zawsze, więc...

Bogdan Krawczyk: Czyli nieprawda, że najpierw była Podkowa Leśna?

Ksiądz Jan Sikorski: To znaczy Podkowa Leśna była, że tak powiem, równolegle. Równolegle. Kiedy tworzyliśmy ten zespół bigbitowy w kościele Św. Michała, w ogóle nie wiedzieliśmy, że jest w Podkowie taki i trudno się spierać w tej chwili, kto był pierwszy, ale to równolegle powstawało. Z tym, że tam prowadził to proboszcz, który miał zupełnie inne warunki. Myśmy tak nawet proboszczowi za dużo nie mówili o tym bigbicie. On był bardzo taki otwarty na wszystko i bardzo kochany. Więc nie przeszkadzał nam wcale, ale oczywiście robiliśmy to tak na swój własny rachunek. Pamiętam jeszcze, że pierwszą kolumną było moje własne radio, które zniósłem do kościoła, a chłopcy tam to podłączali jakieś tam pod te radia te gitary elektryczne, bo to były dopiero w ogóle początki. Szarpidruły takie, tak. Ale efekt był taki, że może nie tylko ze względu na samą muzykę, ale atmosferę, jaką myśmy, taką przyjacielską, jaką stworzyliśmy z młodzieżą, że ten kościół dolny pękał w szwach. Na pierwszych mszach było po kilkunastu młodych ludzi na tej mszy, a potem już było tak, że myśmy spóźnionych nie wpuszczali do kościoła, bo już nie mieli gdzie się pomieścić, i mówiliśmy: „Idźcie na górę”. A oni to wtedy uważali za jakiś wielki taki dyshonor, że nie wolno było zejść na mszę do dolnego kościoła. Te Msze święte były rzeczywiście takie pełne dynamizmu, bardzo żywe, bardzo piękne. I to już było właśnie to duszpasterstwo młodzieży, studentów już w parafii Św. Michała.

